

Aktorka i pedagog

ROZMOWA Z HALINĄ KWIATKOWSKĄ

ANNA LITAK: **Zacznijmy od imienia. Dlaczego w dokumentach Helena, a w teatrze Halina?**

HALINA KWIATKOWSKA: – Rodzice ustalili, że ochrzczą mnie imieniem mojej matki chrzestnej. Miałam się nazywać Halina. Ksiądz stwierdził, że nie ma takiej świętej, więc zgodzili się na Helenę, ale i tak nazywali mnie Haliną. Kłopoty zaczynały się po okazaniu do wodu osobistego, czyli metryki.

Urodziła się pani w Bochni. W 1934 roku rodzice przeprowadzili się do Wadowic. Jaki był powód?

– Mój ojciec uczył łaciny w gimnazjum w Brzesku. W 1934 roku został dyrektorem męskiego gimnazjum w Wadowicach. Ja uczęszczałam do gimnazjum żeńskiego.

Gimnazjum wadowickie cieszyło się znakomitą opinią, podobnie teatr szkolny.

– Koło dramatyczne miało charakter międzyszkolny. Wystawialiśmy sporo przedstawień w sali Sokoła, Domu Katolickim, Bibliotece Mieszczkańskiej.

W 1935 roku w teatrze szkolnym zagrała pani Antygone, a Karol Wojtyła Hajmona w „Antygonie” Sofoklesa. Czy to było pierwsze spotkanie z Wojtyłą w teatrze?

– To była pierwsza wspólna praca, bo przedstawień przygotowaliśmy więcej. W „Balladynie” grałam Balladynę, Wojtyła Kirkora i Kostryna; w „Ślubach panińskich” byłam Anielą, a Karol Gustawem. Rolę Kostryna dostał Wojtyła w przeddzień premiery. Mój ojciec odebrał ją innemu chłopcu za złe zachowanie. Karol uratował przedstawienie, przez noc nauczył się dużej partii tekstu pisanego wierszem.

Kto reżyserował te spektakle?

– Teatr międzyszkolny prowadzili poloniści z obydwu gimnazjów i oni najczęściej reżyserowali. Oceniając przedstawienia z perspektywy czasu, okiem dzisiejszego pedagoga wyższej szkoły teatralnej, stawiam im dobrą notę.

W 1938 roku zapisała się pani na polonistykę na Uniwersytet Jagielloński. Nie myślała pani o aktorstwie?

– Już w gimnazjum wiedziałam, że zostanę aktorką. To była moja pasja. Poświęcałam jej każdą wolną chwilę. Ale najpierw chciałam zdobyć solidne wykształ-

cenie. Na pierwszym roku polonistyki założyliśmy kółko poetyckie. Koledzy z roku: Karol Wojtyła, Wojciech Żukrowski, Tadeusz Hołuj, Juliusz Ksydyński, Tadeusz Kwiatkowski, pisali wiersze. Recytowaliśmy je na różnych spotkaniach.

Czy Karol Wojtyła wprowadził panią w 1941 roku do tajnego Teatru Rapsodycznego Mieczysława Kotlarczyka?

– Z rodziną Kotlarczyków przyjaźniłam się już w Wadowicach. Pan Mieczysław był profesorem gimnazjalnym, prowadził teatr amatorski, wyreżyserował „Kordiana”, z Wojtyłą w głównej roli, w naszym szkolnym teatrze. Przez lata wymieniali uwagi na temat inscenizacji literatury. W pierwszych latach okupacji, gdy Wojtyła mieszkał w Krakowie, a Kotlarczyk w Wadowicach, służyłam im za kuriera, przewożąc przez zieloną granicę korespondencję. Można powiedzieć, że pomysł Teatru Słowa wyłonił się z tej korespondencji. Naturalną kolejną rzeczą było włączenie mnie do powstałego w 1941 roku tajnego Teatru Rapsodycznego.

Grała pani we wszystkich okupacyjnych premierach: w „Królu Duchu”, „Beniowskim” i „Samuelu Zborowskim” Słowackiego, „Hymnach” Kasprowicza, „Godzinnie Wypiańskiego”, w „Portrecie artysty” z tekstami Norwida czy w „Panu Tadeuszu” Mickiewicza. Jak w czasie wojny tworzone przedstawienia?

– Mietek Kotlarczyk z żoną zamieszkałi u Wojtyły na Dębnikach przy ulicy Tynieckiej. Mieszkanie Karola było naszą salą prób, ciemną i zimną, bo mieściło się w suterenie. Nazwaliśmy je katakumbami. Spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu po południu i rozchodziliśmy się przed godziną policyjną. Od Kotlarczyka dostawaliśmy teksty sztuk, on był też naszym reżyserem. „Króla Ducha”, premierowe przedstawienie Teatru Rapsodycznego, zagraliśmy 1 listopada 1941 roku, po dwóch miesiącach prób. Przedstawienia odbywały się w prywatnych domach, u ludzi, którzy nie bali się ryzykować. Może dlatego, że byliśmy młodzi, nie czuliśmy lęku przed konsekwencjami naszych czynów, za które groziło więzienie, a nawet kara śmierci. Czuliśmy, że spełniamy jakieś posłannictwo, kiedy literatura polska była zakazana.



HALINA KWIATKOWSKA

Aktorka teatrów: Rapsodycznego, Słowackiego i Starego, pedagog w krakowskiej PWST, autorka sztuk dramatycznych, w tym roku obchodzi 80. urodziny i 60-lecie pracy artystycznej. W poniedziałek (g. 19) w PWST (ul. Straszewskiego 22) odbędzie się jej wieczór jubileuszowy. Na zdjęciu: „Śluby panińskie” A. Fredry w Teatrze Szkolnym w Wadowicach (1936), po prawej Karol Wojtyła i Halina Królikiewicz (Kwiatkowska).

Jak Kotlarczyk reżyserował? Czy ważne było tylko słowo?

– Słowo miało istotną wartość i Kotlarczyk bardzo pilnował, aby odpowiednio było wypowiedziane, to znaczy z odpowiednim znaczeniem i dykcją. Aktor miał być przekaźnikiem idei pisarza, miał tę ideę streszczać czy opisywać, a nie odgrywać. Interpretacja pojawiała się tylko w sposobie podawania słowa. Kotlarczyk nauczył mnie mówienia wiersza i dykcji. Danucie Michałowskiej, Krystynie Ostaszewskiej i mnie powierzał wiele tekstów chóralnych. Swoje zadanie opanowaliśmy do perfekcji. Pojawiały się tu pewne elementy patosu jako środka wyrazu, co bliższe było przedwojnemu teatrowi.

Wojtyła był aktorem w Teatrze Rapsodycznym. Czy zmiana życiowego powołania, jaka się w nim w tym czasie dokonała – zamiast aktorem został kszędzem – odbijała się w jego grze?

– Myśmy tego nie zauważali. Natomiast godną uwagi była jego praca nad odtwarzaną postacią. Zawodowy aktor, w miarę jak rola się rozwija, ubarwia swoją grę słownie czy ruchowo. Karol postępował odwrotnie: w miarę pracy ascetyzm u niego służył pogłębieniu postaci, obrazował jej wnętrze. Wojtyła sprzed 60 lat jest aktorem współczesnym, intelektualnym.

W 1947 roku odeszła pani z Teatru Rapsodycznego. Czy jego forma, o której pisał Kotlarczyk w programie do „Króla Ducha” („teatr w całym tego słowa znaczeniu imaginacyjny, działający i rozgrywający się w nieograniczonych wprost płaszczyznach wyobraźni poetyckiej, poza wszelką realnością”), przestała pani wystarczać?

– Chciałam spróbować sił w normalnym teatrze dramatycznym, gdzie używa się wszelkich środków wyrazu, nie tylko słowa.

I pierwsza była scena Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych.

– Grałam w TUR, w budynku obecnej Bagateli. Pierwszą moją rolą była Anielą w „Ślubach panińskich”. Z Warszawy przyjechał Jerzy Leszczyński i zarządził konkurs. Spośród pięciu kandydatów wybrał mnie, zwycięstwo zawdzięczałam Kotlarczykowi. Po roku przeniosłam się do Teatru im. Juliusza Słowackiego. Występowałam w klasycznych i współczesnych rolach. Sporo grałam u Bronisława Dąbrowskiego: choćby w „Trzech siostrach”, w „Balladynie”... **Czy po preferującym tylko słowo Teatrze Rapsodycznym nie miała pani kłopotów z grą w teatrze dramatycznym?**

– Usilnie pracowałam, aby wyzbyć się pewnych cech. Na przykład – patosu.

Pomogła mi wielka aktorka Zofia Jaroszewska. Widząc, że sobie nie radzę w roli siostrzenicy, zabrała mnie do domu, ośmieliła paroma kieliszkami alkoholu i uderzyła poduszką. A potem zapytała, czy jej nie oddam. Zaśmiewając się zaczęłyśmy się tłuc na podłodze. I nagle zaczęłam z nią rozmawiać jak ze swoją prawdziwą ciotką.

Do Starego Teatru przyjął panią Władysław Krzemiński, proponując rolę w „Wiśniowym sadzie” w jego reżyserii w 1954 roku. Czy Krzemiński pomagał aktorowi w budowaniu postaci?

– Jeżeli porównać go z Dąbrowskim, który był bardzo surowy, wymagający, nerwowy, mający władzę nad aktorem, to Krzemiński każdego aktora hołubił i kochał. Tą drogą dochodził do znakomych wyników, ponieważ aktor mu wierzył, czuł się potrzebny, doceniony. Zapropnowany przez niego współczesny europejski i amerykański repertuar bardzo nam odpowiadał. Uwielbiał też komedie, szczególnie muzyczne – na przykład „Romans z wodewilu”.

W Starym Teatrze pracowała pani z takimi indywidualnościami, jak Jerzy Jarocki, Konrad Swinarski, Józef Szajna, Zygmunt Hübner. Czego się pani od nich nauczyła?

– U Swinarskiego zagrałam rolę epizodyczną w „Nie-Boskiej komedii”, w „Dziadach” i „Wyzwoleniu”. Miałam nawet o to żal. Kiedyś poskarżyłam się na to Kazimierzowi Wyce, a on mi odpowiedział: „Idź do kościoła i dziękuj na kolanach, że grasz w tak wspaniałym teatrze Swinarskiego”. Praca z tym reżyserem była tak inna, z niczym, co wcześniej znałam, nieporównywalna, że chłonełam każde jego słowo. Szacunek dla autora, sposób rozpracowywania tekstu – to było oświecenie. Mistrzostwo reżyserii Konrada polegało także na czynieniu z epizodów ról bardzo ważnych. Każdy z nas żył swoją historią, przez co inscenizacje osiągały taką intensywność i głębię. Tłum wieśniaczek czy hrabin nie był scenicznym tłem, ale zbiorem indywidualnych ludzkich istnień.

Cieszę się, że przeszedł szkołę Jerzego Jarockiego, mimo że nie był dla aktora przyjemnym reżyserem. Zgryźliwy, ironiczny, surowy, zmieniał na scenie sytuacje z dnia na dzień, wyszukując w sztukach nowe kwestie. W „Zmierzchu” Babski grałam Dwoję i miałam do powiedzenia osiem zdań. Jarocki tak rolę rozbudował, że bardzo ją lubię, cenię i zaliczam do najlepszych.

Całkiem inaczej pracował Józef Szajna. U niego forma wyznaczała postać aktora. W „Onych” Witkacego miałam

zagrać erotyczną scenę z Markiem Walczewskim. Znając upodobania reżysera, postanowiliśmy rozwiązać sytuację z pomocą dywanu. Zawijając się w niego i rozwijając, odgrywaliśmy miłosne uniesienia. Nasz pomysł Szajnie się nie spodobał. Postawił czternaście krzeseł w dwóch rzędach i na ustawianiu ich w piramidę zbudował całą naszą scenę. Ja podawałam Markowi krzesła, a on trzymając je za nogi stawiał jedno na drugim poziomo, pionowo i ukośnie. Gdy piramida była już odpowiednio wysoka, burzył ją jednym palcem, co znaczyło, że już się mną znudził.

Które role – z ponad sześćdziesięciu zagranych w teatrze – ceni pani najbardziej?

– Wspominałam już o Dwojrze w „Zmierzchu”. Cenię Warię w „Wiśniowym sadzie”, Katarzynę de Vauzelles w „Apelacji Villona”, Irinę w „Trzech siostrach”, Miss Fumal, zabawną alkoholicek, w „Czarnej komedii” i Perichole w „Złotej karocy” Mériméego.

Jest pani także aktorką kabaretową.

– Byłam nią przez 20 lat. Do Jany Michalika wprowadził mnie mój mąż, Tadeusz Kwiatkowski, w 1960 roku. Razem z Jackiem Stworą i Brunonem Miecugowem założyli kabaret. Pisali satyryczne teksty pełne aluzji politycznych do aktualnych wydarzeń. Oczywiście nie wszystko udawało się wypiewać. Nieraz targi z cenzurą trwały do białego rana. Wystawialiśmy jej na pożarcie ostre dowcipy po to, by ocalić cieńsze, delikatniejsze aluzje. Występy cieszyły się wielkim powodzeniem. „A to ci we sele!”, „A to ci raj”, a zwłaszcza „Tędownatego” graliśmy przez wiele lat, jeździłyśmy z kabaretem po kraju.

Działano także sztuki pani autorstwa.

– W Starym Teatrze Jerzy Radziwiłowicz wyreżyserował „Sytuację bez wyjścia” napisaną wspólnie z Ewą Otwinowską. Drugą naszą sztukę „Ogłoszenie matrymonialne” wystawił Teatr Nowy w Warszawie. Teraz piszę książkę pod roboczym tytułem „Ze śmietnika pamięci”. Przypominam zdarzenia, których byłam świadkiem, nie tylko teatralne.

Wychowała pani kilka aktorskich pokoleń w PWST w Krakowie.

– Kiedyś policzyłam swoich studentów – 586 osób. Niebagatelna liczba! Oczywiście, niektórzy się gdzieś zawieruszyli, ale wielu gra w dobrych teatrach albo im dyktuje. W ciągu 40 lat pracy uczyłam w szkole piosenki, wiersza, prozy, kultury bycia i wymowy. Stał oprócz znakomych aktorów dramatycznych: Ani Dymnej, Jerzego Treli, Jerzego Stuhra, Janka Peszka, Wojtki Pszonia, Krzysztofa Pieczyńskiego, Olgierda Łukaszczyka, Jerzego Szejbala, Tadeusza Huka, Janka Frycza, Krzysztofa Globisza i wielu, wielu innych, mam świętych aktorów śpiewających: Ewę Demarczyk, Ewę Dałkowską, Krystynę Tkacz, Halinę Wyrodek, Jacka Wójcickiego, i estradowych – Jerzego Krzyszaka, Janusza Rewińskiego.

Ta różnorodność pracy sprawiła, że wydaje mi się, iż jestem bardziej spełniona jako pedagog niż jako aktorka.

W czym tkwi tajemnica pani wiecznej radości życia?

– Wcześniej określaliśmy swoje zainteresowania: najpierw teatr, później podróże. Zwiedziłam całą Europę, dużą część Azji, nie byłam jeszcze w Ameryce Południowej i Australii. Prawdziwym przeżyciem są nasze klasowe jubileusze u Jana Pawła II w Castel Gandolfo. Osiem dni spędzamy na wspólnych rozmowach, posiłkach, koncertach. Trzy lata temu obchodziliśmy razem 60-lecie naszej matury. Wracamy zawsze pełni radości i energii do pracy na długi czas.